

Warszawa dnia 10 (22) Kwietnia 1868 roku.

Nr 16. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

POMPEJA.

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 15-ty).

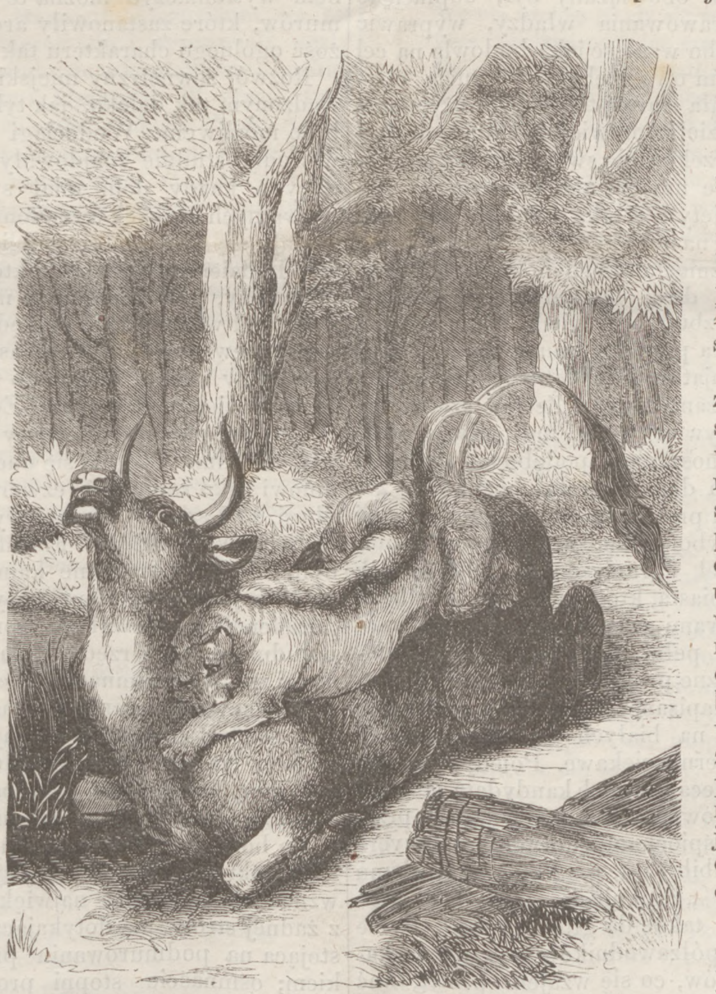
Po pokonaniu Hannibala zaczął się nowy perjod pokoju i szczęścia. Widzimy z budowli jak żywo rozkwitło miejskie życie: niebrukowane przedtem ulice zaczęto wykładać wielkiemi wielokątnemi płytami bazaltu, wzniesiono bazylikę w której odbywały się posiedzenia sądowe, dalej teatr, prywatne domy zaczęto rozszerzać i upiększać.

Ten okres niezakłóconego pokoju trwał blisko sto lat, gdy nowe burze się zaczęły. Wewnętrzne położenie Italji pogorszało się coraz bardziej, jakby w miarę postępu legjonów, które jej panowanie rozszerzały na zewnątrz. W Rzymie bogactwo i potęga spoczęły w ręku nielicznej, uprzywilejowanej klassy, mieszczański stan średni zubożał i zamienił się w miejski proletarjat. Sprzymierzeńcy italscy, mieszkańcy innych miast półwyspu, ponosić musieli wszystkie ciężary obywateli rzymskich, nie posiadając ich praw; niezadowolenie ich wzrastało z każdym rokiem, żądali politycznego równouprawnienia: nadania obywatelstwa rzymskiego. Ludy południowej Italji w poparciu tych słusznych żądań porwały za broń i najuparciej o nie walczyły. W wielkiej wojnie (90—89 r. przed nar. Chr.) Pompejanie przyłączyli się do swych współplemieńców i podzielili z nimi los zwyciężonych. Sulla pod murami Pompei, wygrał stanowczą bitwę i osadził później oddział swoich żołnierzy jako kolonją w mieście, a tym sposobem utworzyły się w mieście dwie oddzielne i nieżyczliwe sobie wzajem gminy. Następstwem tego były długie wewnętrzne zatargi, które ledwie znaczny przeciąg czasu zdołał złagodzić i uciszyć.

Nowa era pokoju za Augusta i jego następców, zapełniła wspaniałe obszary rzymskiego cesarstwa wspaniałemi pomnikami. W tych czasach Pompeja utraciła swój pierwotny oskijski charakter i coraz bardziej rzymski przybierać zaczęła. Cywilizacja Rzymu rozwijając się coraz potężniej, zacierała różnice plemienne i językowe między ludami zamieszkującymi półwysep.

Piękność okolic ściągała do Pompei wielu bogatych, znakomitych Rzymian: słynny mówca Cycero i cesarz Klaudjusz posiadali tu domy; to się przyczyniało coraz więcéj do zlatynizowania miasta.

Według najprawdopodobniejszych przypuszczeń, ludność Pompei w tych najświetniejszych czasach



Wół.. unosząc na swym grzbiecie ogromne zwierzę (str. 124, szp. 1).
(Rysunek i drzeworyt Kazimierza Kuczyńskiego).

jej rozwoju, wynosić mogła do trzydziestu tysięcy mieszkańców. Miasto z powodu panującego pokoju doszło do nader wysokiego dobrobytu; mury, które je otaczały okazały się zaciasne, i dla tego od strony morza gdzie najbardziej przeszkadzały ruchowi handlowania, zburzono je zupełnie; po za bramami utworzyły się przedmieścia, których rozmiary sądząc z nielicznych dotąd odkopanych śladów, musiały być bardzo znaczne.

Pompeja, podobnie jak inne miasta italskiego półwyspu, była samoistną co do wewnętrznego zarządu i tylko kwestje ogólne obchodzące zarówno inne miasta lub całe państwo, podlegały roztrzygnięciu cesarza i senatu w Rzymie. Na czele zarządu miejskiego stała rada Dekurjonów, złożona częścią z byłych urzędników, częścią z osób innych stanów. Radcy ci, których według prawa powinno było być stu, należeli do najznakomitszych familji miasta i mieli sobie nadane rozmaite przywileje honorowe;—oni to stanowili właściwy patrycjat (arystokrację). Władza wykonawcza leżała w ręku Quatuorvirów to jest czterech mężów, z których dwóch miało władzę sądowniczą, a dwóch nadzorną czyli policyjną. Urzędników tych wybierano corocznie. Urzęda ich były honorowe to jest bezpłatne, a nawet połączone ze znakomitemi kosztami; wychodzący bowiem urzędnik obowiązany był, odpłacając się za zaszczyt sprawowania władzy, wyprawić igrzyska ludowe albo wznieść jaką budowlę na cel ogólny. Widać w tem owo głębokie poczucie obywatelstwa, jakiem cała starożytność była ożywioną. Nie ma ambicji bardziej usprawiedliwionej i szlachetniejszej, nad chęć przekazania swego imienia pamięci potomnych ogólnie użytecznem dziełem; że patrycjat Pompei przejęty był taką ambicją, dowodzą napisy znajdujące się na miejskich budynkach. Jedna Kapłanka Cerery wzniosła własnym kosztem Chalcidicum na Forum; dwaj Decemvirowie założyli amfiteatr; dwaj inni zbudowali wielki teatr; świątynia Izydy zniszczona przez trzęsienie ziemi, odbudowaną została z majątku sześcioletniego chłopca,— że już o mniejszych zamilczymy. Że ten szlachetny duch wspólności ożywiał także lud cały, wnieść można z tego, iż wznoszeniem podobnych budowli zamiast wyprawiania dlań igrzysk, można było zyskać jego uznania i przychylność. Bogaci cisnęli się do urzędów, a wybory obudzały najżywszy interes. W takim nawet ograniczonym zakresie jak w murach jednego miasta, które tylko podrzędnemi wewnętrznemi sprawami swemi zajmować się, mogło, wrzało w całej pełni życie polityczne. Świadectwem tego są liczne programy wyborcze i zalecenia kandydatów, zapisane czerwonemi a niekiedy czarnemi głoskami na białych ścianach domów. Napisy te są niezmiernie ciekawe. Pojedyncze osoby lub korporacje zalecają w nich kandydata jako zacnego i godnego człowieka, inni znów swoich przeciwników nazywają śpiochami (dormientes universi), popijałami (seribibi) i. t. p. Na jednym domu znajdował się napis: „Prokulusie, jeśli dasz głos za Sabinusem, to on także da głos za tobą”. Byłże to układ dwóch współzawodników czy też szykana z dwóch stronników, co się wzajem protegować zobowiązali.

Obok patrycjatu czyli arystokracji rodu, istniała arystokracja pieniężna, złożona z wyzwoleńców. Cesarz August uregulował prawnie stosunki wyzwolonych niewolników i związał ich interesa z interesami tronu, ogłaszając panującego Cezara ich opiekunem i patronem. Dalej gmin składał się z niewolników, których losu nie należy jednakże porównywać z losem murzynów w plantacjach cukru lub bawełny: pilny bowiem i pracowity niewolnik, mógł nietylko wolność sobie wysłużyć ale nawet zebrać majątek.

O zewnętrznych dziejach Pompei za cesarstwa, niewiele jest do powiedzenia. Cesarz Klaudjusz (panował od 41 do 54 r.) odwiedził to miasto. W roku 60 naszej ery, w amfiteatrze podczas igrzysk dawanych przez jednego senatora rzymskiego, na krórych znajdowała się znaczna liczba gości przybyłych z sąsiedniego miasta Nucerji przyszło do bójki, w której przybysze pobici zostali i zmuszeni do ucieczki, straciwszy dosyć zabitych i rannych; skutkiem tego rząd rzymski widział się zmuszonym zakazać na lat dziesięć igrzysk podobnych w tem mieście.

Wkrótce potem, w Lutym 64 roku większe nieszczęście spotkało Pompeję. Straszliwe trzęsienie ziemi niby przedwiestnik ostatnich dni, nawiedziło Kampanją i w znacznej części zniszczyło miasto. Zajęto się z gorliwością naprawą szkód i skorzystano z tej okoliczności w celu upiększenia miasta i ozdobienia go podług najnowszego smaku. Tym sposobem wytłómaczyć można te łataniny odkopanych murów, które zastanowiły architektów, oraz świeżość ogólnego charakteru tak starożytnego miasta.

Rozwój zewnętrzny miejskiego życia był doprowadzonym tak daleko, jak tylko to w starożytności było możliwem. Wodociągi zaopatrywały miasto w wodę, studnie znajdowały się na każdym rogu ulicy, a każdy dom miał swą cysternę. Oprócz prywatnych łazienek w znakomitszych domach, znajdowały się dwa wielkie publiczne zakłady kąpielowe. Podziemne kanały z któremi każdy dom był połączony, odprowadzały nieczystości do morza. Pod temi wszystkiemi względami, starożytna Pompeja przewyższała wiele miast dzisiejszych Włoch i mogłaby śmiało stanąć do porównania z niewielkiemi dzisiejszemi grodami Europy północnej.

Centralny i najświetniejszy punkt miasta stanowiło Forum. Ciągnie się ono od północy ku południowi jako reguralny czworokąt około 275 łokci długi, a 57 szeroki. Z niego wychodzi sześć ulic, lecz dla wozów i jeźdźców Forum było nieprzystępne, było bowiem ogrodzone kamieniami, a nawet bramami zupełnie zamknięte być mogło. Od strony północnej znajdował się portyk z kolumnadą; od południowej dwa rzędy kolumn doryckich, a nad niemi znowu kolumnada jonicka, stanowiły krużganek dający schronienie w czasie upałów lub deszczu; środek Forum wyłożony taflami pięknego kamienia. Na tym placu znajduje się 22 piedestały posągów, które miasto wznosiło znakomitym i zasłużonym mężom oraz swoim urzędnikom.

Po bokach Forum leżą najważniejsze świątynie i budynki miejskie. Na najwydatniejszem miejscu, wznosi się świątynia największego boga Jowisza, z żadnej strony nie dotykająca do innych gmachów, stojąca na podmurowaniu przeszło 5 łokci wysokiem; ośmnaście stopni prowadzi do wspartego na dwunastu kolumnadach przedsionka. Świątynia sama miała na ścianach dwa rzędy pilastrów jeden na drugim, w głębi zaś trzy nisze na posągi bogów; środkową zajmował posąg Jowisza, w bocznych znajdowały się statue Junony i Minerwy. Pod świą-

tynią mieszczą się izby, w których jak się domyślają, przechowywanym był skarb miejski. Cały budynek jest 52 łokci długi, 26 szeroki, wysokość zaś jego prawdopodobnie wynosiła 26 do 27 łokci.

Druga pierwszorzędna świątynia znajduje się na zachodniej stronie Forum; wielka kolumnada otacza całe jej podmurowania; świątynia miała do około na zewnątrz krużganki, wsparte na kolumnach i przedsionek; ołtarz ofiarny znajduje sie jeszcze u stóp wschodów, kilka posągów bogów także tutaj znaleziono. Trudno dziś jednakże odgadnąć, czy ten wspaniały przybytek poświęconym był Cererze, czy bogini miłości, czy innemu jakiemu bóstwu. Obok tej światyni leży Bazylika—wielki podłużny budynek, który wewnątrz miał trzy nawy; na końcu zaś strony zachodniej wznosi się trybunał, siedlisko jak się zdaje władzy administracyjnej i sądowej.

Na południowej stronie, naprzeciw świątyni Jowisza znajduje się trzy, a na stronie wschodniej pięć mniejszych budynków, których szczegółowe przeznaczenie trudno jest dziś odgadnąć. W jednym z nich, jak mniemają, odbywały się posiedzenia rady miejskiej—w drugiej zgromadzali się przedstawiciele różnych stanów. Wspomnieliśmy już wyżej Chalcidicum, zbudowane przez Eumachją kapłankę Cerery,—było ono rodzajem giełdy zapewne. Dalej inny budynek stanowił Augusteum to jest miejsce, w którem zbierali się i wyprawiali uczty i uroczystości Augustalowie—kapłanowie boskiej potęgi kierującej losami Cezarów. W czasie tych uczt rozdawano ludowi mięso i chleb. Przed Augustem, jak się zdaje wekslarze wznosili swoje budy. W jednej z nisz na zewnętrznej stronie świątyni Wenery, są miary używane w mieście wystawione na widok publiczny.

Zwiedzający dzisiaj Pompeję, nie może nabrać dostatecznego pojęcia o świetności i wspaniałości dawniejszej owego Forum. Płyty marmurowe, któremi ściany były pokryte zniknęły i dokoła oko spostrzega tylko bezkształtne szczątki. Zdaje się, że jedna z przyczyn tego stanu było to, iż w chwili wybuchu Wezuwiusza który zasypał miasto, nie naprawiono jeszcze wszystkich szkód zrządzonych poprzedniem trzęsieniem ziemi, co jest łatwem do pojęcia ze względu na ogromne koszta jakich te roboty wymagały, zwłaszcza że trzęsienie ziemi porobiło szkody nietylko na Forum lecz w całem mieście, i że wszędzie jednocześnie pracować było potrzeba. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

ZMARTWYCHWSTANIE.

W ciemnej pieczarze, cicho wypoczywa
Zbawiciel świata w zakupionym grobie,
Okrycie białe ciało mu okrywa,
Dzieciątkiem, w nędznym złożonym był żłobie,
Dziś w drogich woniach w bogaczów pieczarze,
Ukrył swe rany—a na grobie leży
Kamień, u wejścia stoją liczne straże.
Po co straż, kamień?—bo lud w słowo wierzy,
Że Zbawca wstanie z grobu swego z chwałą,
By siąść na wieki po prawicy Ojca.
Więc też kamieniem przyciśnięto ciało,
. . . . Lecz w grobie cicho, skąd tam życie wstanie
Co raz umarło, ach! czy ożyć może?
Bo choć Ty samem jesteś życiem Panie
Śmierć tu panuje, a Ty jesteś w górze.
Wszak krew z Wybawcy strumieniem wyciekła,
O! nawet jednej kropli nie zostało,
Śmiertelna boleść lice mu powlekła,
Pięciu ranami okryte jest ciało.
Lecz Zbawca wyrzekł: „za trzy dni powstanę,”
By zmyć ludzkości ciężkich grzechów ranę.
A więc z nadzieją patrzmy w grób powstania,
Tyś w słowach wierny wiekuisty Panie!
A niedaleko już do zmartwychwstania.
. . . . . I Anioł życia zwalił kamień z wieka
Grobu Chrystusa—i Zbawca powoli
Z cichej mogiły ku górze pomyka,
By się wznieść w Niebo z nad ziemi niedoli,
. . . . . I noc ostatnia powoli skonała,
A w łonie swojem pusty grób zamknęła.
Ale pamiętną w przyszłości została,
Bo dopełniła ostatniego dzieła.
Nazajutrz słońce wspaniale błysnęło;
Święte niewiasty smutkiem obciążone
Biegły do grobu, serce ich objęło
Uczucie trwogi, patrzą zasmucone,
W grób swego Pana—pusty.. Zbawcy nie ma.
W tym go własnemi ujrzały oczyma.
„To on! to Chrystus.” on tym się ukazał
Najprzód, co w strasznej konania godzinie
Pod krzyżem stały, gdy on grzechy zmazał
Całego świata z miłości jedynie.
A więc gdy radość ich serca objęła,
Wesołą wieścią biegły się podzielić,
Że z Wielkiej-nocy już prawda błysnęła,
By ludzkość biedną, światłem uweselić!
Razem z Chrystusem Panem, ziemia wstała
Zmartwych do życia, i suknię godową
Strojną zielenią i kwieciem przywdziała,
Niebo w radości swe czoło różową
Oblało zorzą, skowronek pogonił
Wysoko w górę i pieśń Zmartwychwstania
Hymnem obwieścił, i w pieśni wydzwonił,

J. Żdżarska.

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 15-ty).

Po trzech dniach takiej pracy, mięso nasze wyschło jak szczapa, zdjęliśmy je tedy i złożyliśmy w wozie. Nie strzelałem więcej zwierzyny, naraz, że na przebycie pustyni dość było tego cośmy mieli—powtóre, że obawiałem się aby szczupłe zapasy prochu zupełnie się nie wyczerpały, tem więcej że słyszeliśmy ryk panter i innych zwierząt, z któremi niebezpiecznieby było się spotkać bez broni ognistej.

Przez ten czas nasz wół i koń nieźle się odpasły i można było myśleć o przedsięwzięciu dalszej podróży. Ale ze śmiercią naszego przyjaciela Mac Knighta, o której nie wątpiliśmy, najpiękniejsze nasze nadzieje w niwecz się obróciły; przy tak szczupłych środkach jakie nam pozostały, mogliśmyż się puszczać pomiędzy obcych sobie ludzi, do kraju zupełnie nieznanego?—Takie pytanie zadawaliśmy sobie czwartego dnia po przybyciu, siedząc do koła ogniska i rozpamiętywując dawniejsze czasy.

— Co robić, mój drogi—rzekła moja żona, miejmy w Bogu ufność, a on nie opuści nas tak jak dotąd nie opuścił.

— Prawda Anno, prawda, winniśmy zdać się zupełnie na jego świętą wolę.

W tem usłyszeliśmy dziwny głos podobny do ryku wołu, ale ryku tak strasznego jak nigdy się nam słyszeć nie zdarzyło. Dochodził on z tej stro-

ny gdzie się pasł nasz wół. Zerwać się z miejsca, pochwyć za broń i pobiedz w tę stronę, było dla nas dziełem jednej chwili.

Przebiegłszy parę staj ujrzeliśmy okropny widok: biedny nasz wół pędził w stronę obozowiska ile mu sił starczyło, unosząc na swym grzbiecie ogromne zwierzę, które się uchwyciło mu za gardło; z razu zaledwieśmy je dojrzeć mogli, tak mocno przylgnęło do swej ofiary, z której krew strugami spływała. Zbliżywszy się, poznaliśmy w niem olbrzymią amerykańską panterę.

Biedny nasz stary towarzysz słabiał widocznie, chwiał się, biegł coraz wolniej, wreszcie padł o kilka kroków od nas wydawszy żałosny jęk, którego nigdy nie zapomnę. Strzeliliśmy wszyscy trzej, ale wzruszenie nie pozwoliło nam dobrze zmierzyć, tak iż wszyscyśmy chybili. Dobyłem noża i podbiegłem ku panterze, ale Paweł mię uprzedził: ujrzałem ostrze piki jego niknące w gęstej sierści zwierzęcia. Potwór ryknął przeraźliwie i lubo ostrze przeszyło mu szyję na wylot, podskoczył jednak i już dotykał swemi pazurami Pawła, gdy wystrzeliłem z pistoletu w samo jego serce, kładąc go tym sposobem bez życia na ziemi.

Nie mieliśmy się więc czego obawiać, ale biedny nasz wół z którego pomocą spodziewaliśmy się wydobyć z pustyni, leżał także u stóp naszych martwy.

Tym sposobem wszelka nadzieja wyjścia z téj doliny została nam odebraną; koń bowiem jeden nie zdołałby wyciągnąć wozu, a zostawić ten ostatni i iść pieszo, także było niepodobieństwem, bo nikt jeszcze tym sposobem pustyni tej nie przebył— słowem rozpacz mnie ogarniała.

Mieliżbyśmy nazawsze pozostać zagrzebani w tej samotnej dolinie, bo najmniejszego nie było prawdopodobieństwa, aby ktokolwiek z ludzi zawitał tu kiedy? Chyba, że pustynia nie rozciągała się tak daleko ku południowi lub zachodowi, jak się mi z początku zdawało. Trzeba będzie o tem się przekonać.

Nazajutrz tedy wziąwszy z sobą trochę gotowanego mięsa i wody, siadłem na konia i pożegnawszy żonę i dzieci, puściłem się ku zachodowi. Przez półtora dnia drogi nic innego nie spotykałem jak tylko piaski i wydmy, a nie widząc końca tej pustyni, wróciłem nazad tak zmęczony jakbym najdłuższą podróż odbył. Miałem jeszcze zamiar udać się ku południowi, ale nie prędzej to się stać mogło, aż koń należycie wypocznie. Tymczasem chodziłem jak zabity, próżno przemyslając jakimby sposobem ztąd się wydostać. Jednego dnia gdym siedział zadumany, uczułem lekkie dotknięcie ramienia, a gdym się obejrzał obok mnie stała Anna, z której twarzy można było wyczytać, że chce coś mówić ze mną.

— Co powiesz, Anno?—spytałem.

— Nie pięknaż to dolina?—rzekła wskazując ręką do koła.

— Tak Anno,—odpowiedziałem, nie tylko piękna ale wspaniała. Nic równego w życiu nie widziałem.

— A więc Henryku,—rzekła ze słodkim uśmiechem, po cóż chcieć ją porzucić?

— Po co?—zapytałem zdziwiony tem pytaniem.

— Tak—odrzekła Anna poważnie. Szukamy miejsca, w którymbyśmy osiąść mogli..... dla czegożbyśmy się więc tu nie mieli zatrzymać? Znajdziemyż gdziekolwiek co lepszego? A kto wie co czeka nas w kraju, do którego się udajemy: może nie znajdziem tam miejsca, gdzieby głowy nasze spoczęły?

— Ależ droga Anno, czyliżbyś mogła żyć z daleka od świata i jego przyjemności, do którycheś tak przywykła?

— Co mię świat obchodzi!—odrzekła. Alboż nie mamy dzieci? Nie wystarczająż nam one za cały świat? A zresztą, byliżeśmy szczęśliwi żyjąc na tym świecie? Wierz mi, że w ciągu kilku dni któreśmy tutaj przebyli, czuję się szczęśliwszą aniżeli w ciągu życia całego. Pomyśl o tem dobrze Henryku, bo co do mnie zaczynam wierzyć, że sama Opatrzność przywiodła nas tutaj.

— Lecz czyliżeś pomyślała o wszelkich trudnościach i niedostatkach tego rodzaju życia?

— Tak, myślałam o tem w czasie twojej nieobecności. Żywności nie zabraknie nam w tej oazie, a co do innych wygód do którycheśmy przywykli, postaramy się od nich odwyknąć. Kto wie zresztą, może znajdziem w tej dolinie źródło jakiego przemysłu, który nas wzbogaci.

Uwagi te głęboko mię uderzyły i na serjo począłem się zastanawiać nad słowami żony, lubo nie podzielałem jej ostatniego zdania. Myśl pozostania nie była dla mnie wstrętną, bo dotąd na świecie same tylko przeciwności spotykałem,—a jeżeli i przemówiła mocniej tęsknota za ziemią rodzinną, to myśl o niepodobieństwie wydostania się ztąd za pomocą środków jakieśmy posiadali, znowu nasuwała pragnienie pozostania w tym istnym raju ziemskim. Zwierzyny mieliśmy tu obficie, a nawet widziałem dzikie indyki i bażanty. Prochu tylko mieliśmy mało, ale zdawało się mi że potrafim wynaleźć środek, któryby go zastąpił; a zresztą znajdziem pewnie w dolinie rozmaite owoce i rośliny jadalne.

W miarę jak się zastanawiałem nad tym projektem, zdawał się mi on tem łatwiejszym do wykonania—i wnet byłem podobnież nim zachwycony jak moja żona.

Wezwaliśmy do rady Pawła, Witolda i Bolesława, którym pomysł ten wielce się podobał. Wierny Paweł zgadzał się podzielać z nami dolę lub niedolę; a co się synów dotyczy, życie niezawisłe które mieliśmy nadzieje prowadzić, zdawało się dla nich najwyższem szczęściem. Rzecz ta jednak była tak wielkiéj wagi, że nie chcąc jej lekkomyślnie traktować, postanowiliśmy nazajutrz jeszcze raz wszelkie okoliczności rozebrać szczegółowo; ale w nocy zdarzył się nadzwyczajny wypadek, który mię zniewolił do pozostania w tej dolinie jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej dopóki jaki traf nie pozwoli nam wyjść ztąd bez niebezpieczeństwa.

Było już koło północy, gdy po kilkogodzinnej gawędzie sen nas zmorzył i zamierzaliśmy udać się na spoczynek. Przypadkiem wzrok nasz zwrócił się na najgłębszą część doliny i osłupieliśmy ze zdziwienia; trzeba bowiem wiedzieć panom, że w chwili gdyśmy na tę dolinę przybyli, jeziora tego wcale nie było. Otóż któż opisze nasze zdziwienie, gdyśmy w największem jej wgłębieniu, ujrzeli połyskujące przy blasku księżyca zwierciadło wody?....

Tak, w miejscu gdzie przed kilku godzinami sączył się mały strumień, widzieliśmy obszerną szybę wody. Wody pokrywały przestrzeń kilkuset metrów kwadratowych i coraz bardziej ku nam się zbliżały. Nie wierząc jeszcze swoim oczom i przy-

pisując to zjawisko poetycznemu złudzeniu, pobiegliśmy nad brzeg wody: ale najmniejszej wątpliwości nie było. Tworzyło się jezioro, a jego wody nieustannie się wznosiły i już dotykały stóp naszych

— Zkąd to pochodzi?—pytaliśmy się drżącym ze wzruszenia głosem. Byłże to rozlew strumienia? ale z jakich powodów? Od kilku dni tu bawimy, a przecież ani kropla deszczu nie spadła.

Straszna myśl przemknęła po umyśle naszym: widocznie jaki odłam skały, dla niewiadomych nam przyczyn, oderwał się i zamknął koryto strumienia, którego wody nie mając żadnego ujścia, wezbrały i grożą całej dolinie zalaniem. Nie mieliśmy ani chwili do stracenia: trzeba było myśleć o jak najprędszem wydostaniu się z tej doliny, jeżeli nie chcieliśmy zginąć okropną śmiercią w nurtach tajemniczego jeziora. Spiesznie więc wróciliśmy do swego obozowiska, chwytając co mogliśmy naprędce, gdy w tem wszelka nadzieja ucieczki została nam odebraną: droga którąśmy przyjechali prawdopodobnie była zupełnie zalaną; tak więc nie było żadnego środka wyjścia z tej doliny. W tem myśl, którą poczytałem za natchnienie niebios, wróciła mi promyk nadziei.

— Tratwa! tratwa!—zawołałem, a będziemy ocaleni!

Paweł pochwycił siekierę, Anna pobiegła do wozu po postronki i rzemienie jakie się tam znajdowały, ja zaś widząc że mało tego będzie, zacząłem ciąć w pasy skórę łosia. Paweł dzielnym był cieślą, robota szła śpiesznie, tak, że w dwie godziny niespełna tratwa była gotową. Postawiliśmy na nim swój kufer z drobiazgami oraz trochę sprzętów i rzeczy, które chcieliśmy zabrać z sobą. Już mieliśmy wsiadać na tratwę oczekując nadejścia wód, gdy raz jeszcze spojrzałem na jezioro. Któż opisze naszą radość gdyśmy ujrzeli, że wody jego przestały się podnosić?....

— Widocznie—myśleliśmy sobie, woda doszła do wierzchu przeszkody, która ją zatrzymywała i przeszła teraz przez nią. Niebezpieczeństwo więc minęło.

Tym to sposobem zakończyła się ta straszna noc.

Nazajutrz, pragnąc zbadać przyczynę tak niewytłómaczonego powstania jeziora, które zawsze nas jeszcze niepokoiło, udałem się brzegiem wody torując sobie przejście siekierą przez zarośla. Przyszedłszy nad brzeg strumienia ujrzałem z zadziwieniem, że daleko mniej było w nim wody aniżeli zazwyczaj—ta zaś była mętna i zapruszona świeżemi liśćmi. Postępując brzegiem dalej, napotykałem na piasku liczne ślady zwierzęce ale dziwnego kształtu: były bowiem podobne do wielkich nóg kaczych. W miejscu gdzie koryto strumienia najbardziej się zwężało, ujrzałem tamę urządzoną z gałęzi i pnia przerzuconego przez strumień: wszystko było tak misternie zrobione, każda rzecz tak na swojem miejscu, że tylko człowieka mogłem za sprawcę tego dzieła uważać. Niebawem jednak, wyprowadził mię z tego mniemania widok szczególnych budowniczych, spokojnie zajętych swą pracą. Było ich ze sto: — jedne piłowały swemi ostremi zębami gałęzie, drugie znosiły je nad brzeg strumienia, inne nurzając się w wodzie umacniały pale, zatykały otwory lub pływały w rozmaitych kierunkach. Sierć ich, bo domyślacie się że to o zwierzętach mowa, była kasztanowato-bura, kształt podobny do wielkich myszy, uszy krótkie, ale ogon potężny dziwnego kształtu bez sierści, niby gładką skórą powleczony. Jakkolwiek poraz to pierwszy widziałem zwierzęta tego rodzaju, przecież nie trudno mi było poznać w nich bobry. Widok tamy tych zwierząt, od razu wytłumaczył mi przyczynę tajemnego nawodnienia. Kolonja bobrów przybyła w dolinę zapewnie przed kilku dniami zbudowała tamę, która nie przepuszczając wody strumienia, zgromadziła je w jednę kotlinę i tym sposobem utworzyła jezioro.

Zrobiwszy to odkrycie przypatrywałem się przez kilka chwil ich pracy, która istotnie nadzwyczajny wzbudzała interes. Naturalnie nie można było myśleć, aby całą tę robotę jednej nocy uskuteczniły: tama była zapewnie od dawna już rozpoczętą, a nocy poprzedniej musiały tylko zatknąć otwór —i tym sposobem zatamowały wodę.

Nie mam potrzeby tu mówić, z jaką radością tę wiadomość cała moja rodzina przyjęła. Odkrycie, które zrobiłem, zupełnie mię zdecydowało pozostać w dolinie: było tu obfitsze źródło bogactw, aniżeli to cośmy znaleźć mogli w najbogatszych kopalniach Meksyku. Skóra każdego bobra wartą była najmniej dziesięć rubli, a ja widziałem tych zwierząt ze sto, a mogło ich być i daleko więcej, nie licząc że każda para co rok przyprowadza cztery lub pięć małych, co po niejakimś czasie podniosłoby ich liczbę do kilku tysięcy. Do nas tylko należało mieć o nich staranie, dostarczać im na zimę zapasów, oraz niszczyć ich nieprzyjaciół. Postępując tym sposobem z należytem umiarkowaniem, mogliśmy być pewni, że po kilku latach będziemy mogli wrócić do krajów ucywilizowanych unosząc z sobą tyle błamów futra, ile potrzeba do zapewnienia sobie pięknego mienia; słowem ani mowy już nie było o opuszczeniu doliny.

Nic nam teraz nie pozostawało, jak tylko wybudować sobie jak najśpieszniej jaką taką chałupę. Jedynym naszym materjałem było wprawdzie tylko drzewo, ale Paweł tak zręcznym był cieślą, że niewątpiliśmy iż da sobie radę.

Do budowy wybraliśmy drzewo tulipanowe, które przez dwa dni Paweł ścinał, a ja z synami zwoziłem je w jedno miejsce, gdy tymczasem żona gotowała jeść lub jaką robótką kobiecą się zajmowała. Trzeciego dnia Paweł ociosał je, porobił potrzebne wręby, a czwartego wznieśliśmy już ściany wspólnemi siłami aż do wysokości dachu. Nazajutrz założyliśmy belki poprzeczne, wznieśliśmy całe rusztowanie dachu, wreszcie założyliśmy krokwie. Szóstego dnia od rana ciął Paweł belki dębowe na kłody długości około czterech stóp, poczem szczepił za pomocą siekiery i klina na deski grube wprawdzie ale mocne, które miały służyć do pokrycia domu. Ja zaś przez cały ten dzień mięszałem glinę na piec i tynk do ścian wewnętrznych.

Siódmy dzień ponieważ to była niedziela, przepędziliśmy na modlitwie i odpoczynku. Ponieważ dotąd jeszcze ani żona ani dzieci nie widziały naszych bobrów, przeto ruszyliśmy wszyscy nie wyłączając Pawła nad brzeg strumienia, gdzieśmy z wielką przyjemnością kilka godzin spędzili. Zwierzęta te również były pracowite jak my: jedne ich domki wznosiły się tuż niedaleko brzegu, inne obok małych kęp na jeziorze; były one zbudowane z mułu, kamieni, gałęzi i trawy, podobne z kształtu do stożkowatych ulów pszczół; jakkolwiek zanu-

rzone do połowy w wodzie, mogliśmy jednak dostrzedz przez otwór, że się dzielą na dwa piętra. Wyjście zdawało się w stronie zwróconej do jeziora i tuż pod wodą tak, że bóbr wchodząc czy wychodząc, musiał się nurzać. Domki te zewnątrz i wewnątrz były wymazane pewnym gatunkiem tłustej gliny, co im nadawało niesłychaną moc i trwałość, oraz utrzymywało wewnątrz ciepło. Niektóre domki były formy owalnej, inne grupami po kilka wspólnym dachem były okryte. O ich zaś wielkości z tąd możecie brać miarę, że ta tylko część co się wznosiła nad powierzchnię wody, dorównywała wysokością wzrostowi człowieka. Sam wierzchołek był po większej części płaski, ponieważ bobry lubią tu wylegać się czasami na słońcu.

W każdym takim domku mieścił się tylko samiec i samica, a czasem i kilkoro małych. Te z nich, które ukończyły już budowę swych domków, zajmowały się zgromadzaniem zapasów na zimę t. j. liści i młodych latorośli wierzby, jesionu i morwy. Aby oszczędzić im pracy i zapewnić pożywienie na zimę, postanowiliśmy z Pawłem naciąć wolnym czasem tyle gałęzi ile będą potrzebowały.

W poniedziałek wróciliśmy do przerwanej pracy. Mieliśmy do uskutecznienia najważniejszą jej część—bo pokrycie dachu; gdy wreszcie i ten został pokryty, przystąpiliśmy do robienia drzwi, i okien. Ponieważ belki, z których się cztery ściany chaty składały nie przystawały szczelnie do siebie, przeto budowa nasza raczej do olbrzymiej klatki, niż do domu podobną była.

Nazajutrz przystąpiliśmy do robienia otworów na drzwi i jednego tylko okna, które miało się znajdować w tylnej ścianie domu. Sposób jakiegośmy przy tem użyli był bardzo prosty: poprzywiązywaliśmy mocno jedne do drugiej wszystkie belki, które miały formować odrzwia i uszaki, a następnie za pomocą piły wycięliśmy odpowiednie otwory; gdyśmy do boków tych ostatnich przymocowali odpowiedniej długości deski, pozostawało tylko postarać się o drzwi i okienice: tak jedne jak i drugie zrobiliśmy z desek, przyczem zawiasy naturalnie nie mogły być inne jak ze skóry.

Ku wieczorowi przeniosłszy do domu wszystkie swoje manatki, pierwszą w nim noc przespaliśmy.

Dom wszakże dalekim jeszcze był od zupełnego ukończenia; brakowało w nim pieca i komina, których robotą zajęliśmy się nazajutrz. Wybraliśmy tym końcem północną stronę chaty, która frontem była obróconą na wschód. Piec nasz szczególnej był konstrukcji: zbudowany z cegieł i kamieni, jedną połową znajdował się w chacie, drugą wychodził na zewnątrz; nad tą ostatnią częścią wznosił się komin, zbudowany z małych kawałków drzewa coraz krótszych, w miarę jak komin wznosił się w górę, a to aby całość nie nazbyt ciężyła na ściany pieca. Wieczorem lubo nie było jeszcze zimno, zapaliliśmy w piecu: paliło się wybornie.

Nazajutrz zatykaliśmy szczeliny ścian i dachu mchem i gliną. Podłogę tymczasowo wysłaliśmy liśćmi palmowemi, pozostawiając zrobienie drewnianej na swobodniejszy czas. Tak więc w krótkim przeciągu czasu zbudowaliśmy swoję chatę, nie używszy do niej ani jednego gwoździa.

Przez parę następnych dni, z pozostałych barwion i desek zrobiliśmy stajenkę dla konia, zabezpieczającą go nie tyle od zimna, bo klimat tutejszy bardzo łagodny, ale od drapieżnych zwierząt. Następnie zajęliśmy się robotą stołu i sześciu stołków, co przyszło nam nie bez trudności, dla braku potrzebnych stolarskich narzędzi. Ale przy pomocy Bożej i przemyśle Pawła, i to się nam wreszcie udało. Klej stolarski udało się mi zrobić z rogów wołu i łosia; hebel zastąpiliśmy z biedy gładkim kamieniem, dzięki któremu sprzęty nasze nabyły pewnego połysku. Zresztą nie o elegancją, ale o wygodę nam chodziło.

Nie zapomnieliśmy też o bobrach, którym dostarczyliśmy znaczną ilość ulubionych przez te zwierzęta korzeni magnoljowych. Dopóty nie chcieliśmy na nie polować, aż liczba ich znacznie się powiększy, zresztą w nagromadzeniu futer nie było nic nagłego, a co do doraźnego użytku, mięso ich prócz ogona, nie jest jadalne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.— Patrz N. 14).

III

Nazajutrz policja poprzestała tylko na sprawdzeniu tożsamości osoby aresztowanego i zebraniu wiadomości o jego prowadzeniu się poprzedniem i wykryciu kim był zamordowany, poczem natychmiast sprawę przesłano sądowi.

Z wskazówek policyjnie jeszcze zebranych, okazało się: że Opędzki podał rzeczywiste swoje imię i nazwisko, że wistocie odziedziczył po rodzicach pewien majątek niezbyt wielki jednakże, że od czasu odebrania tego spadku prowadził życie dość rozrzutne i nieoglądające się na jutro, tak iż przewidywać było można, że ojcowizna nie na długo mu wystarczy, zwłaszcza iż lubił grubo grywać w karty; zresztą nic złego o nim nie mówiono, używał powszechnie reputacji eleganckiego młodzieńca, a lubo nie miał przyjaciół, którzyby szczerze i goraco wstawiali się za nim, nikt przecież nie powiedział, żeby go sądził zdolnym do podobnej zbrodni;—nie było żadnej wskazówki, żeby mógł mieć jakich zawziętych nieprzyjaciół. W mieszkaniu jego nic podejrzanego nie odkryto, znaleziono owszem daleko znaczniejszą summę pieniędzy w gotówce niż miał przy sobie w chwili aresztowania, oraz kilka listów zastawnych —było przecież uderzającem, że między pieniędzmi które miał w domu, stanowiącemi jak widać resztę odziedziczonej spuścizny, niebyło wcale złota, gdy tymczasem w chwili aresztowania nieznajomy miał kilkanaście półimperjałów.

Moneta złota jest u nas taką rzadkością, że urzędnicy słusznie na ten szczegół jako niezmiernie ważny, szczególną zwracali uwagę. Bliższe obejrzenie zwłok zabitego nadało tej okoliczności, któraby się nieświadomym toku śledztw kryminalnych wydać mogła zupełnie obojętną, daleko większe jeszcze znaczenie.

Zamordowany otrzymał tylko jedną ranę w piersi w okolice serca—ranę, która zdaniem lekarza natychmiastową śmierć sprowadzić musiała. Nie było najmniejszej wątpliwości, że rana ta zadaną została

tym właśnie nożem, który Opędzki miał w ręku; —potwierdzały to zeznania świadków, a włożenie noża w ranę przekonało o tem dostatecznie. Ażeby zadać taką ranę potrzeba było zręczności i siły. Obwiniony był dostatecznie silnym, a zręcznym być mógł lub też przypadek mu dopomógł.

Powodem, który skłonił zabójcę do morderstwa, najprawdopodobniej musiał być rabunek. Kieszenie jego zostały wypróżnione, czego dowód leżał nie tylko w tem że się w nich nic nie znajdowało, lecz głównie w tem, że niektóre z nich sprawca czy sprawcy zabójstwa pozostawiali powywracanemi. Jedna tylko z kieszonek kamizelki uszła zapewne ich uwagi, i w tej kieszonce znajdowała się jedyna sztuka monety jaką przy nieszczęśliwym znaleziono.

Pieniądzem tym był półimperjał.

Zresztą mnóstwo jeszcze robiono, jak to bywa zwyczajnie w takich razach rozmaitych nad ciałem nieboszczyka obserwacji, i starannie zapisywano wszystkie szczegóły dotyczące pozycji w jakiej upadł, kierunku w jakim szedł prawdopodobnie on i napastnik; w biurokratycznej, tą razą przecież bynajmniej nienagannej skrupulatności, wyłuszczano wszystkie wskazówki, które dowodziły najwyraźniej: że śmierć ta skutkiem samobójstwa być nie mogła, że również niepodobna przypuszczać, jakoby zamordoowany sam napadł na swego zabójcę—był bowiem człowiekiem słabej komplekcji i w nic nieuzbrojonym; spisywano rysopis, katalogowano znaki szczególne, słowem nie pominięto żadnej okoliczności, któraby mogła stać się przydatną bądź do wykrycia zabójcy, bądź przynajmniej do wyśledzenia kim był zamordowany.

Po tym ostatnim względem śledztwo nie szło szczęśliwie.

Od samego rana wieść po całem mieście rozniosła wiadomość o morderstwie popełnionem na Topielu; mnóstwo ludzi zbierało się aby oglądać trupa, czego wszystkim dozwalano spodziewając się, że lada chwila ktokolwiek wystąpi z deklaracją iż go poznaje, że żona pozna w nim męża, siostra brata lub przyjaciel przyjaciela i krzykiem boleści i rozpaczy o tem oznajmi—napróżno jednak na to oczekiwano.

Rysy zmarłego pozostały niezmienione zapewne, tylko wyraz strasznej boleści wypiętnowany na jego licach w chwili zgonu, wyrzeźbił się w zmartwiałych muskułach i pozostał na nich niezmienny—lecz ten wyraz nie mógł jego fizjognomji odmienić tak dalece, żeby go poznać nie mieli ci, co z nim w jakichkolwiek byli stosunkach. Należało zatem przyczynę że się nikt nie zjawił z deklaracją, przypisać chyba temu, żę nieznajomy był obcym i zbyt nie dawno przybył do Warszawy.

Śledztwo w tej mierze prowadziło się swoim tokiem, a tymczasem z godnym pochwały pośpiechem, przystąpiono tegoż dnia jeszcze do powtórnego przesłuchania obwinionego.

Indagacja ta, jakkolwiek już powtórna, miała być właściwie pierwszą przez władzę sądową przedsięwziętą, przedstępne bowiem przesłuchanie u komisarza z natury rzeczy było tylko tymczasowem i pobieżnem.

I w tem jeszcze przesłuchaniu chodziło tylko o summaryczne przedstawienie sprawy, dotyczyło też ono jedynie najważniejszych poszlak i w bliższe nie wchodziło szczegóły.

Kiedy Opędzkiego przyprowadzono przed urzędnika który go miał badać, miał on minę całkiem spokojną, nie znać było na nim ani śladów bezsennej nocy, ani przerażenia swem położeniem, ani wzburzenia, ani wachania. Był pewnym siebie, a choć widocznie wzruszony, co ze względu na zarzut pod jakim się znajdował było bardzo łatwem do pojęcia, potrafił przecież ciągle nad swojem wzruszeniem panować.

Zeznaniem swojem potwierdził to wszystko co u komisarza powiedział, że jednak sprawa od tego czasu posunęła się nieco dalej, że do poszlak dawnych przybyły nowe, więc urzędnik badający był zmuszonym zadać mu jeszcze kilka innych pytań, które tu powtórzyć winniśmy.

— W pierwszem zeznaniu—mówił do niego, — nie oświadczyłeś pan stanowczo czy znasz czy nie znasz zamordowanego.

— Tak jest,—odrzekł aresztowany,—o ile jednak w ciemności przyjrzeć mu się mogłem, nie sądzę, żebym go znał.

— W takim razie wypadnie zapewno skonfrontować pana z jego ciałem.

Nic nie mam przeciwko temu.

— Oświadczyłeś pan również, że pieniądze które miałeś przy sobie, w części już dawniej były w pańskiem posiadaniu, w części dopiero od dnia wczorajszego.

— Tak jest.

— Określ pan wyraźniej jaka ilość mianowicie i w jaki sposób dostała się panu wczoraj.

— To zdaje mi się obojętnem.

— Jest to jednak ważniejszem niż się panu zdaje i ostrzegam pana, że wykrętna lub niedokładna odpowiedź w tym względzie, może mieć bardzo ważne następstwa,

— Przypuszczam choć tego nie pojmuję, i dla tego gotów jestem udzielić wszelkich możebnych objaśnień, po za pewne jednak granice przestąpić nie mogę.

— Bodajby dla własnego pańskiego dobra, wystarczyło tych ograniczonych jakiemi niepojętemi względami odpowiedzi. Zadam panu kilka pytań, których rozjaśnienie jest konieczne.

— Słucham pana.

— Według własnego zeznania pańskiego, gotówka znajdująca się przy panu, powiększyła się w dniu wczorajszym.

— Jest to tylko wniosek z słów moich, który mógłby być błędnym, nie przeczę jednak że jest słusznym.

— Ile wynosiło to powiększenie?

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

WIEWIÓRKA.

Badając uważnie obszerny a zawsze cudowny obraz Przyrody, spostrzegamy ogólne fakta, które przejmują naszą wyobraźnię rzewnem uwielbieniem: rzeczą jest nauki zaznaczyć owe fakta, złożyć z nich sprawozdanie i wytłomaczyć je o ile to jest w jej możności.

Gdy patrzymy na mnogość i nieskończenie wielką różnorodność zwierząt *gryzących*, na rozmaitość ich kształtów, obyczajów i równie wielką rozmaitość substancji, któremi się żywią, oraz miejsc gdzie wyszukują swe pożywienie—mamy ochotę przyjąć za ogólne prawidło: że przeznaczeniem jest wszystkich tworów Przyrody, żeby były pogryzione.

Wziąwszy na uwagę jedynie ten szereg zwierząt ssących które nazywamy *gryzącemi*, widzimy, że w nim się

mieści: *zając* i *królik* o lekkich nogach, miękkiej sierści, z których jeden pustoszy pola, drugi lasy; jeden jest wędrownym, drugi zaś przebywa w swoich jamach; —*jeż* na krótkich nogach, z ciałem pokrytem kolcami, który zwiedza ogrody;—*szczur* i *mysz*, te gatunki niszczące mieszkanie człowieka, a towarzyszące mu we wszystkie strefy jako prawdziwe pasożyty; *skrzeczek* czyli *chomik*, co w głębokich norach przechowuje ziarno na polu zebrane; —*bóbr* przebywający przy wodach, który nas zadziwia umiejętnością wodnego budownictwa; —*świeszcz alpejski*, co się zarówno znajduje na śnieżnych gór wierzchołkach, jako i na najniepłodniejszych stepach i najbardziej opustoszałych, co prawie przez pół roku w odrętwieniu leży; — do tego nakoniec szeregu należy *wiewiórka*. Ruchliwość, zręczność i żywość, czynią ją podobną do ptaków, z któremi wspólnie zamieszkuje wyniosłe drzewa i gnieździ sie w ich sąsiedztwie. *Wiewiórka* po łacinie *Sciurus*, ma zęby ostre; palce długie, opatrzone w zagięte pazurki; ogon długi, szeroki, puszasty. Niektóre gatunki z tego rodzaju jak *polatucha*, mają rozszerzone błony pomiędzy nogami tylnemi a przedniemi, za pomocą których mogą znaczną przestrzeń pomiędzy drzewami przeskakiwać i z tego powodu otrzymały nazwę wiewiórek latających.

Naturaliści opisują 40 gatunków wiewiórek. My zajmiemy się jedynie *Wiewiórką zwyczajną*, to jest Europejską (*Sciurus vulgaris*).



Wiewiórka pospolita.

Miłe to zwierzątko, ma jak wiemy kolor pokrycia rudy, mniej więcej brunatny, pod spodem biały; kształty zręczne, ruchy żywe, oczy błyszczące, nadają mu dowcipny wyraz fizognomji: ,,Piękną wiewiórki postać, powiada Buffon, ozdabia duży ogon w kształcie kity, który zwykle podnosi po nad głową, jakby się ukrywała pod jego cieniem; na każdem uchu, ma pęczek długiej, równej sierci. Po największej części siedzi wyprostowana, posługując się dwoma przedniemi łapkami z szybkością nadzwyczajną, dla włożenia żywności do pyszczka, którą jak naprzykład orzechy lub inne pestki, starannie z wierzchniej skóreczki ząbkami obłupuje. Pożywienie jej stanowią orzechy, buczyna, żołądź, bedłki i rozmaite pestkowe nasiona, w cieplejszych zaś okolicach migdały. Na zimę przechowuje zapasy z powyższych przedmiotów, i składa je w rozmaitych miejscach, mianowicie w pniach drzewnych. Na te swoje składy zawsze baczną zwraca uwagę, umié nawet nieprzyjaciela od nich odprowadzić." Chodząc jesienną porą po ogrodzie na wsi, widywałem na jednej zwykle topoli wiewiórkę, a lubiąc przyglądać się tak zręcznemu stworzeniu, zwykle więc przystawałem i patrzyłem na jej skoki. Ale zaraz mię zobaczyła i odbiegła na drugie drzewo, potem na trzecie, i tak dalej, — ja za nią i zaprowadziła mię aż na sam koniec ogrodu, przeskakując cały szereg topól gęsto stojących; gdy już doszła do ostatniej, pozostała na niej spokojnie u góry za jedną gałęzią i zawsze mnie przetrzymała, bo noc zapadająca zmuszała mię do odwrotu. Ponieważ się te manerwa powtarzały codziennie, zacząłem ich przyczyny dociekać. Zastawszy znowu wiewiórkę na zwykłej topoli, obejrzałem drzewo starannie, a wspiąwszy się po przyległych pieńkach, odkryłem o jakie 4 łokcie od ziemi w miejscu gdzie drzewo było przepęknięte, skład bardzo pięknych orzechów. Wiewiórka tymczasem widząc, że za nią nie idę, zatrzymała się na trzeciem czy czwartem drzewie. Musiała zapewne z wielką niespokojnością śledzić me kroki. Odszedłem czemprędzej, nie naruszywszy rozumie się w niczem, zapasu z takim mozołem uzbieranego. Radbym, aby widok jego równie rzewnem współczuciem jak mnie przejmował wiejskie dzieciaki, a nawet i dorosłych wieśniaków.... Nie rozumiem prawdziwie, jak może być człowiek tak srogim, żeby swą ogromną łapą która wygodnie na wyżywienie zapracować jest zdolną, zagarniał zapasik podtrzymujący w czasie ostrej pory roku, życie miłego i niewinnego zwierzątka? Jednakże to się często przytrafia. O jak wiele jeszcze brakuje moralnej ogłady dwunożnemu zwierzęciu!

Wiewiórki żyją parami, gnieżdzą się na drzewach i nie znoszą sąsiedztwa. W miejscu gdzie gałęzie widełkowato się rozchodzą, budują gniazdo dość obszerne zaokrąglone, z otworem u góry. Dla zabezpieczenia go od deszczu, robią nad niem w pewnej odległości rodzaj daszku, z którego woda na stronę odpływa. Chrust i mech stanowią materjały, składające tę dość zawiłą budowlę. Gniazdo zawsze czysto i porządnie utrzymane, zabezpiecza młode pokolenie; w niem także wiewiórka przebywa podczas dnia, wychodząc zwykle nocną porą na szukanie pożywienia. Wyłazi też z niego i w dzień, gdy jaki hałas przerywa ciszę lasów, wówczas wiewiórka ucieka na inne drzewo i kryje się za jaką gałęzią. Gdy zaś burza drzewem wstrząsa i grozi mu obaleniem, schodzi na ziemię.

Zdaje się, że wiewiórka mało pić potrzebuje; niektórzy utrzymują, że gasi swe pragnienie śniegiem,—przynajmniej to pewna, że nieraz grzebie w śniegu niezawodnie dla szukania ukrytego pod nim pożywienia.

Głos ma donośny, słychać ją dobrze w nocy, gdy się upędza i biega, także mruczy gdy ją kto drażni. Mięso wiewiórek jest jadalne, włosy z ogona służą do robienia pędzelków; lenią się na wiosnę.

Kolor ich jest pospolicie rudy, ale na północy napotykają się popielate, białe, a nawet czarne. Futra północnych wiewiórek znane są pod nazwiskiem *popielic*, podbrzusza zaś zowią się *bielistkami*. W Syberji nad rzeką Jenissej, są wiewiórki większe z futerkiem srebrno-popielatem.

Opowiadają niektórzy jakoby widzieli, że wiewiórki przepływają przez wodę siedząc na odłamku kory z drzewa, za rudel ogon im służy. Ale fakt ten jest tak mało sprawdzony, że jesteśmy zmuszeni uważać go za przyjemną bajeczkę.

Białodrzew.

Myśli i Zdania.

— Wielka jest potęga słowa!— Jedno słowo może nas napełnić szczęściem i nadzieją, —jedno słowo, pogrążyć w rozpacz i cierpienie.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.